

Relacja Petrasa Plumpy, nie uporządkowana (Wilno, 10 czerwca 1997)

Plumpa to nazwisko sztucznie narzucone w ubiegłym wieku. Nazwisko mojego pradziadka brzmiało Gasiunas. Ojciec miał 10 hektarów ziemi. A ziemia ta znalazła się w naszych rękach w czasach carskich, w XIX wieku. Ponieważ pradziadek nie chciał się ugiąć przed dziedzicem, ten zesłał go na Sybir. Dziadek miał 50 lat, kiedy zesłano go na 25 lat katongi. Wrócił, gdy miał 75 lat. Dziedzic, pan Konarowski (polskie nazwisko; mówił po litewsku, ale z akcentem; dziadek nawet przedrzeźniał ten akcent), zdumiał się i powiada: „No, skoroś wrócił z Syberii po tylu latach, dostaniesz dwie dziesięciny ziemi”. To pewnie około dwóch hektarów. Dziad zbudował tam dom. W tym domu urodził się mój ojciec, urodziło się moich trzech braci, siostra, a w 1939 roku urodziłem się ja.

W czasie niepodległości, w roku 1920, dodano jeszcze ziemi - coś około 10 hektarów.

W 1944 roku, kiedy przyszli Rosjanie, najstarszy(?) brat Albertas poszedł do lasu, choć miał możliwość ucieczki na Zachód. Ale powiedział - „A kto będzie bić rosyjskich okupantów?”. I został. Miał wtedy 21 lat, a ja pięć. Pamiętam to wszystko. Nosiłem mu jedzenie do bunkra na cmentarzu.

W lipcu 1945 roku go wzięli, ale wcześniej brał udział w walkach, w jego oddziale było 300 partyzantów... Schwytano go w wyniku zdrady, i ojca też wzięli, bo utrzymywał brata. Trafili do Rosji, ale wrócili po jakimś czasie, bo całkiem przypadkiem brata schwytano w bunkrze bez broni. Akurat tej jednej nocy poszli spać do bunkra bez broni. A skoro nie mieli broni, a się ukrywali, to znaczy - „dezercerzy”, ukrywający się przed poborem do rosyjskiej armii. Więc pięć lat, a nie dwadzieścia pięć.

W 1952 roku znowu zszedł do podziemia, a w 1957 roku dostał 10 lat za „antyradzieckie wypowiedzi”. [NIECZYTELNE? nr 108]

Utworzyliśmy w 1954 roku organizację w „rajonie” - w Pangilis (?) w północnej Litwie. Z tej szkoły co roku po 20 absolwentów trafiało na Sybir za nielegalne organizacje. Byłem już w czwartej grupie, wydawaliśmy podziemną gazetkę. Przepisywaliśmy ją ręcznie, a redaktorem był rejonowy inspektor oświaty. Potem rozeszliśmy się po różnych miastach - po Kownie, Wilnie... I w Kownie [na przełomie?] 1956 i 1957 roku utworzyliśmy już inną organizację. Napisałiśmy program, pod wpływem wydarzeń na Węgrzech. Wtedy właśnie odbyły się demonstracje na kowieńskim cmentarzu [UWAGA: OPOWIADA O NICH ŻYLINSKAS]. Następnego roku utworzyliśmy grupę, składaliśmy przysięgę. Było nas około ośmiu osób. W programie zapisaliśmy, żeby gromadzić zapasy broni (na wszelki wypadek), zbierać i rozpowszechniać literaturę - w oczekiwaniu na chwilę wyzwolenia Litwy. Chodziło o podtrzymanie ducha, a w razie czego - wsparcie zbrojne. Ponieważ w tym czasie nie było już ruchu partyzanckiego, trzeba było przygotowywać się na możliwe w nieokreślonej przyszłości wydarzenia takie jak na Węgrzech czy w Polsce.

10 16 lutego 1958 roku, w Dzień Niepodległości wywiesiliśmy flagi w Wilnie i w Kownie. Ja wywiesiłem flagę nad kominem elektrowni, na wysokości 85 metrów. Wszedłem tam nocą, po zewnętrznej drabince.

Wyśledzono nas i złapano po miesiącu. Ja dostałem siedem lat, a inni osiem, pięć, trzy - różnie. Artykuł 58, 10: antysowiecka agitacja i propaganda i 182, to znaczy gromadzenie białej broni. Z tej okazji przyszedł nawet do celi przewodniczący litewskiego KGB i powiada: „I co, chcieliście obalić władzę radziecką? Hitler był silny, a mu się nie udało!”.

My chcieliśmy strajki organizować, choć nie mieliśmy specjalnie kontaktów z robotnikami. Większość z nas była studentami. A studenci byli już zsowietyzowani. To znaczy występowali za niepodległość i wolność Litwy, ale jeśli chodzi u ustrój ekonomiczny, to byli marksistami. Niemal wszyscy byli materialistami. Młodzież zsowietyzowana, lecz mająca poczucie godności narodowej.

Ze mną było trochę inaczej, choć też nie byłem osobą świadomie wierzącą. W dzieciństwie - może miałem ze cztery lata - nauczono mnie się modlić, ale nie wiedziałem, kto to taki - Bóg. Z Bogiem poznał mnie Povilas - mój starszy o osiem lat brat - na cmentarzu. To bardzo charakterystyczny objaw dla przedwojennej Litwy: dokonuje się religijnych rytuałów, wygłasza modlitwy, chodzi do kościoła, ale żywej wiary nie ma. Ludowa religijność, niezbyt świadoma, tradycja ludowo-religijna, a nie przeżycie duchowe... [NIECZYTELNE!] Dlatego nie było miłości, duchowej miłości. Jeśli miłość szybko znika, to znaczy że jej w ogóle nie było. Ta rozmowa z bratem była bardzo ważna. Spytałem go: „Dlaczego na krzyżu jest człowiek?”. Brat na to, że to Bóg, Syn Boży. „A kto to jest Bóg?”. „Istota, która nas stworzyła, która widzi nas i słyszy - każdy nasz krok”. I od tego czasu kontaktuję się [OBSZCZAJUS'] z Bogiem właśnie takim, jakiego odkrył mi mój brat, a nie tym, z którym nauczyła mnie rozmawiać przez modlitwę matka [ponieważ nie nauczyła - NIEJASNE]. Potem zdawałem egzaminy z katechizmu. Gdy miałem 12 lat, za pierwszym razem nie zdałem. Wtedy władze pozwalały na to, ale nie zbiorowo, tylko indywidualnie - u księdza. Były jeszcze stare, przedwojenne teksty katechizmu, z odpowiednimi wymogami. Ale tam nikt nie patrzy, jak ty wierzysz, tylko - jak odpowiadasz - na pamięć. Dlatego to jest w ogóle nieciekawe - wkuwać coś, czego kompletnie nie rozumiem. Nie rozumiem, więc nie lubię; nie lubię, więc nie chcę. Tak więc kiedy trafiłem do łagru, w roku 1958, 59, za organizację, a zwłaszcza za przysięgę, bośmy przysięgali walczyć o niepodległą Litwę aż do zwycięstwa. I praktycznie przez cały czas trzymałem się tej przysięgi.

W obozie poznałem ludzi bardziej wykształconych, zacząłem się interesować filozofią, jogą, hinduizmem (?), a w obozach w owym czasie było dużo tak zwanych rewizjonistów z uczelni leningradzkich i moskiewskich, na przykład z moskiewskiego Uniwersytetu [Przyjaźni Narodów im.] Patrice'a Lumumby. Rewizjonistów, którzy byli już, powiedzmy, przeciwko leninizmowi czy chruszczowowskiemu, a tym bardziej stalinowskiemu wariantowi komunizmu. Powiedzmy z szesnastu studentów wydziału filozofii czteremnaście trafiło do łagrów. Był tam Mołostwow i ta cała grupa. Pirogow był, Tarasow, byli bardzo wówczas aktywni Żydzi. Wtedy można było przysyłać literaturę i trafiały tam do nas książki, religijne. Z Moskwy wszelkie książki o jodze, z Uniwersytetu Lumumby. I potem w łagrze pełno było ludzi, którzy stali na głowie, uprawiając jogę. Ja też przez to wszystko przeszedłem: przez medytację, jogę... Dostaliśmy też literaturę katolicką i powstała grupa katolików-konwertytów [może raczej neofitów - w.w.], w siódmym obozie (?). Przyjął chrzest marksista Feliks Krasawin [Krasauer?]. Wydaje mi się, że z rąk polskiego księdza, którego potem często wspominał - bodaj ojca Kazimierza. Był litewski ksiądz Balcionas, który wywarł tam wielki wpływ. Litwin Dardziudas, zdolny szachista i poliglota, zna wiele języków - co roku uczył się jednego. Potrafi czytać i pisać po niemiecku, angielsku, francusku, włosku, polsku, estońsku, gruzińsku. Zaczął się uczyć po węgiersku... Pod wpływem tych kapłanów stał się świadomym katolikiem. Był Żyd Zaworonkow i Rosjanin Nabierieznow, pół-Żyd Krasawin.

Z jednej strony te warunki zmuszały do poszukiwania sensu życia. Gdybym się nie interesował jogą i hinduizmem, to kto wie, czy nie poszedłbym kryminalną drogą. Dużo było zdrady, donosicieli, którzy widzieli sens tylko w tym życiu - z tej strony. Ale jeśli ludzkie życie ciągnie się dokądś w wieczność, to jego główny sens przechodzi tam - ku wieczności. To, co tutaj, jest tylko wstępem, prologiem. W takim razie nie można w tym życiu postępować nieodpowiedzialnie - takie myśli przychodziły już wówczas do głowy wielu ludziom.

Nieustannie prowadziliśmy tam rozmowy na rozmaite filozoficzne czy społeczne tematy. Wciąż się tam spieraliśmy. I to czasem bardzo ostro. Byli tam marksiści [...] - uważali nas za nacjonalistów. Nigdy się nie pobiliśmy. Bójki były na przykład między kapusiami, a między nami bójek nie było, ale też i specjalnej przyjaźni nie było.

Ogromne znaczenie miał kontakt z kapłanami. Na przykład ja uważałem się wtedy za chrześcijanina, ale nie za katolika. Ateistyczne wychowanie w szkole wywarło bardzo silny

wływ. Po wojnie wydano u nas bardzo dużo ateistycznych publikacji, zawierających argumenty przeciwko Pismu świętemu i nauce Kościoła, a ja nie mogłem znaleźć argumentów, żeby je zbić. Kiedy byłem nastolatkiem, to się nawet modliłem, żeby Bóg pomógł mi sobie z tym poradzić. Wiara skrzyżowała się ze świadomością, z poznaniem faktów, z logiką. I dlatego nie mogłem uważać się za katolika. A siedem lat później doszedłem do katolicyzmu, i to zupełnie nagle.

Uważam się za chrześcijanina, czytam Pismo święte czy inne książki, a ci neofici-katolicy, o których opowiadałem, modlą się - za mnie. Widać, że się interesują. I pewnego wieczoru dali mi książkę „O naśladowaniu Chrystusa” Tomasza à Kempis. Czytam, czytam. Doszedłem do rozdziału o eucharystii. I nagle dzieje się coś takiego, jak czasem, kiedy patrzy się na rysunek trójkąta, zamyka oczy na chwilę, a po otwarciu widać odwrócony trójkąt. Wtedy też tak było. Czytam i nagle widzę, że wszystko, co tam napisano to najprawdziwsza prawda. Nagle, w jednej chwili. I następnego dnia powiadam swojemu przyjacielowi zupełnie w inny sposób niż dotychczas. A on mówi: „Przecież ty wczoraj byłeś zupełnie inny. Kiedyś się stał katolikiem?”. Znalazłem się w zupełnie innym świecie. I od tej pory wszedłem już do ich grupy, modliliśmy się w różnych językach, zwłaszcza po łacinie („Pater Noster” znam i odmawiam od tamtych czasów), po włosku, po rosyjsku, po litewsku. Litanie do Matki Boskiej wszyscy znali i odmawiali po łacinie. Wieczorami zbieraliśmy się - cała inteligencja - i odmawialiśmy wspólnie. Polaków tam nie było. Wcześniej w obozach byli polscy księża, ale w tym czasie już ich nie spotkałem. Pewnie repatriowano ich za Chruszczowa.

I tak w 1965 roku wróciłem do domu już jako świadomy katolik, ponieważ przez kolejne trzy lata łagru zapoznałem się z całą ateistyczną literaturą, jaka tylko była dostępna: francuskich filozofów (Volter, Monteskiusz, Diderot). Wypisywałem sobie najtrudniejsze ich argumenty i musiałem sam sobie na nie odpowiedzieć.

{ Ponieważ zaś oni mi nie udowodnili, że mają rację, stało się to dla mnie pewnego rodzaju szkołą, a nawet metodą - jak podchodzić do problemów ideologicznych czy światopoglądowych. Nie trzeba się wycofywać, lecz przeciwnie - przyjmować, analizować i próbować odpowiedzieć na pytanie: jeśli prawda jest po twojej stronie, [NIECZYTELNE!] a jeśli po ich stronie [NIECZYTELNE]. Teraz w ten sam sposób podchodzę do wszelkich sekt [P.Plumpa jest doradcą rządu litewskiego do spraw kocielnych - w.w.] Zbieram informację, analizuję i odpowiadam - pisemnie albo ustnie. }

Trzy lata jakoś tak minęły - pracowałem w Wilnie jako technik sanitarny, remontowałem kościół, pracowałem w zakładzie budowlanym (żelazobetonnyj zawod?) w Kownie, a potem doszedłem do wniosku, że tak dalej żyć nie można, że trzeba podjąć działalność wychowawczą - żeby wyzwolić ludzki duch. Ponieważ mnie wyzwoliła Ewangelia, powinienem pomagać innym. A najlepszy sposób to zbierać młodzież, utworzyć podziemny uniwersytet, seminarium duchowne i publikować.

No i zacząłem. W 1968 roku wstąpiłem [zdałem?] do Selprojektu - to jest taka uczelnia rolnicza, zajmująca się projektowaniem [NIEJASNE] i tam była maszyna drukarska [ROTAPRINT]. Zacząłem na niej drukować. Był taki węgierski teolog, biskup Temer Todt (?), i to jego prace wydawałem w nakładzie po tysiąc egzemplarzy. Było niebezpiecznie, ale wszystko szło bardzo dobrze. W 1969 roku zszedłem już do podziemia, jako zawodowiec. Zrobiliśmy własnoręcznie maszynę kopiującą [PEWNO CHODZI O SITO?] A ja zajmowałem się rozpowszechnianiem tej religijnej literatury. Nie byłem sam, lecz z grupą ludzi, przeważnie młodych. Pomagały nam niektóre siostry zakonne.

Na przykład dostaliśmy zza granicy książki naszego filozofa [PACENI? MACENI?] - „Sekularyzacja świata”, „Demitologizacja Ewangelii”, „Ewolucja i religia”. Zrobiłem ich kopie, [nn] Jakość druku była, powiedzmy, podziemna, ale kto chciał informacji, ten je miał.

Rok 1968 był rokiem szczególnym - na całym świecie: we Francji studenci, ruch w Czechosłowacji, a na Litwie wyraziło się to w sensie religijnym: katechizacji dzieci, publikowania literatury. W tym czasie powstała też inna grupa, oprócz mojej - wydawali katechizm, modlitewniki. Powstały niezależne punkty drukarskie w różnych rejonach - w Wilnie były cztery takie punkty, w Kownie - cztery, jeden w [Zapriskis?] pod Kownem, jeden w [Czużikris?], jeden w lesie pod Kownem [?], dwa w Kosiedolis. Jeszcze gdzieś indziej pracowali introligatorzy. W Kownie było sześć pracowni introligatorskich, w Wilnie jedna, jeszcze w dwóch miejscowościach po jednej. A więc, jak widać to ziarno rozprzestrzeniło się po całej Litwie. Księża zaczęli bardzo aktywnie uczyć dzieci religii, a władze odpowiedziały na to prześladowaniami.

Ponieważ polityka była wówczas taka, żeby do seminarium duchownego [w Kownie, jedyne z trzech, pozostawione przez komunistów - w.w.] przyjmować jak najmniej osób, w nadziei, że starzy księża powymierają [i problem religii sam się rozwiąże]. Pewnego razu pojechałem do księdza Raciunasa i zaproponowałem, żeby zorganizować podziemne seminarium. Ksiądz się wystraszył - myślał, że jestem prowokatorem. A myśmy [KTO?] sądzili, że ksiądz Raciunas, który jest marianinem, będzie mógł to wszystko zorganizować z pomocą zakonników. I potem rzeczywiście oni zrealizowali ten pomysł, kiedy nas już wsadzono do więzienia.

Z tym, że na Uniwersytecie nie udało się tego zrobić, potrzebne były [nn].

W 1970 roku wsadzono pierwszych kapłanów za katechizację dzieci i dlatego trzeba było już informować świat o tym, co się dzieje. Nie mieliśmy swoich wydawnictw, nie mieliśmy kontaktów z zagranicą. Pojechałem do Moskwy i spotkałem się ze starymi znajomymi - byłymi więźniami. Był tam taki Wołodia Tielnikow (siedział w Mordowii) - i to jemu przekazywałem informacje, a także Tatianie Wielikanowej, Siergiejowi Kowaliowowi, a oni umieszczali te informacje w „Kronice Bieżących Wydarzeń”. Zawiozłem tam memorandum, podpisane przez 17 tysięcy osób - protest litewskiej [NIECZYT.]. Zrobiliśmy kopię i zawiozłem ją tam.

Droga do Moskwy była bardzo niebezpieczna. Trzeba to było robić tajnie, więc już z miasta wychodziło się zamaskowanym - w okularach, w kapeluszu, po nocy. Potem - na Białorusi, autobusami, które jechały wiejskimi drogami. I tak - do linii kolejowej, już pod Mołodecznem. Tam wsiadało się do pociągu - i już do Moskwy. A to po to, żeby uniknąć naszych dworców kolejowych. Do Moskwy przyjeżdżałem incognito. Nikt na mnie nie czekał. Kompletna niespodzianka.

Specjalnie się nie bałem. Nie było we mnie strachu; było - poczucie obowiązku. Lęk pojawiał się czasem - w groźnych sytuacjach. Kiedy wiozłem informacje, nazwiska - wtedy się bałem. Czasem robiło się gorąco. A jak nie miałem niczego, to się nie bałem.

Pewnego razu wyjeżdżam do Moskwy, stoję w pobliżu przystanku autobusowego, niedaleko skrzyżowania. Jestem zamaskowany, w okularach. Podjeżdża samochód. Patrzę, a w tym samochodzie jakaś kobieta macha do kilku mężczyzn, pokazując na mnie. A oni wszyscy przez okno patrzą na mnie z tego samochodu. Zrozumiałem, że mnie rozpoznali. Oni - w kierunku skrzyżowania i zawracają. A ja wtedy pędem między domy, przez podwórka. Daleko musiałem wtedy biec.

Żeby z miasta wyjść do swojej skrytki (mieszkałem wtedy w internacie), na przykład do podziemnej drukarni, trzeba było chodzić kilka godzin, żeby zgubić ogon. Oni wiedzieli, że dokądś tam idę i rzucili ogromne siły do śledzenia mnie. I żeby dojść do celu trzeba było czasem chodzić pół doby. Na wieś, do lasu, nocą, potem wracało się do miasta...

Później, w czasie śledztwa powiedzieli mi, że ich oficerowie mieli nieprzyjemności za to, że przez trzy lata nie mogli znaleźć tej skrytki. KGB - taka znana organizacja, sami się chwalili, że jak kogoś śledzą, to znają każdy jego krok. Jeśli znali, to czemu nie mogli trafić?

W 1972 roku już zaczęliśmy wydawać „Kronikę Kościoła Katolickiego na Litwie”. To była inicjatywa ks. Raciunasa, ks. Zdebskisa i innych. Przyszły kardynał Sładkiavicius wymyślił

tytuł. Ja uważałem, że powinien być inny, bo „Kronika” była już w Moskwie, więc po co mamy ich naśladować. Ale inni twierdzili, że właśnie nazwa „kronika” dobrze odzwierciedla charakter pisma. Kronika, a nie jakaś tam publicystyka. I okazało się, że było to słuszne podejście. Zbieranie faktów miało ogromne znaczenie. Moskwianie uważali: żadnych komentarzy, żadnej beletrystyki. Fakty i tylko fakty. I za granicą miało to ogromne znaczenia, dzięki sile dowodowej faktów, bez beletrystyki.

Poza tym odbywały się w podziemiu, w prywatnych mieszkaniach, spotkania młodzieży, w czasie których wygłaszano różne wykłady na tematy religijne czy filozoficzne, odpowiadano na pytania. Czasem prowadzili takie spotkania kapłani, czasem ja sam.

Odbywały się też czasem rekolekcje o specyficznym charakterze. [Ale] ja uważałem za najważniejsze wydawanie literatury. Nasi filozofowie już dawno odpowiedzieli na wiele pytań. Dlatego należy tę literaturę rozpowszechniać i wielu ludzi otrzyma dzięki niej odpowiedź. Skoro ja dostałem, mogą dostać także i inni. To było dla nas najważniejsze, a nie na przykład jakiś ruch dysydencki, jak to było w Moskwie. Oni tam żądali, żeby władze przestrzegały ustanowionych przez siebie praw. A u nas na odwrót.[?]

W 1972 roku obecny arcybiskup Tomkevičius przekazał mi pierwsze materiały do zredagowania. Zrobiłem redakcję językową, przepisałem ręcznie, a on wziął do domu, przepisał na maszynie i przywiózł mi maszynopis. Zrobiłem sto egzemplarzy kopii, ktoś inny oprawił i tak co trzy miesiące wydawaliśmy numer „Kroniki”. Robiliśmy też kopię na mikrofilmie i przekazywaliśmy za granicę do litewskich ośrodków emigracyjnych. Fragmenty czytano potem w „Radiu Watykan”.

Przyjeżdżali tu [NIECZ.], księża, zakonnicy albo jeszcze ktoś - po prostu ludzie wierzący - i przez nich przekazywało się „Kronikę” na Zachód. Czasem podczas kontroli celnej w Moskwie [NIECZ.]. W tubkach pasty do zębów, czy jeszcze gdzieś.

Popracowałem jeszcze półtora roku przy wydawaniu „Kroniki”, a potem nas posadzili, wielu z nas; jednej nocy przeprowadzono około pięćdziesięciu rewizji po całej Litwie i myśleli, że złapali całą redakcję, a tymczasem redakcji nie złapali. Nikt redakcji nie znał, oprócz mnie. Potem, w łagrach, dowiedziałem się, że wyszedł kolejny, ósmy numer. I KGB do końca nie wiedziało, kto jest w redakcji. Do 1983 był Tomkevičius. Wsadzili go, ale nie za redagowanie „Kroniki”, bo o tym nie wiedzieli, ale za inne rzeczy - za czynną pracę duszpasterską, zwłaszcza wśród młodzieży. Potem był Jonas Boruta (teraz też kandydat na biskupa). W wydawaniu „Kroniki” brało też udział kilka dziewczyn, zakonnice. Gdy Tomkevičius wrócił z łagru, to jeszcze kilka kolejnych numerów zredagował.

Od 1971 roku, a zwłaszcza po tym, jak nas wsadzili, księża zaczęli zbierać podpisy pod listami protestacyjnymi. W samym tylko sierpniu [NIECZ.? 305 listów?], potem w ciągu trzech miesięcy - dwa tysiące. Do końca roku zebrało się 5.100 podpisów z protestami, kierowanymi do różnych instancji.

Po naszym aresztowaniu i procesie (w 1974 roku) w 1975 pojawiły się jeszcze trzy podziemne pisma, a w 1976 - [BYŁO ICH?] pięć, w 1977 - sześć, w 1978 - osiem, w 1979 - dwanaście. Większość z nich to była pisma katolickie, ale niektóre reprezentowały zupełnie inny kierunek. Przeliczając na strony wyglądało to tak: w 1974 roku 250 stron, a w 1979 - już 2.800 stron oryginalnych antysowieckich tekstów! Wzrost ponaddziesięciokrotny, prawdziwy „boom” samizdatu. Dlatego samizdat wywarł niemały wpływ na rozwój myśli politycznej w latach 1989-90. Cały ten wielobarwny ruch zjednoczył się w „Sajudis”, a żądanie niepodległości było na Litwie najsilniejsze w porównaniu z innymi krajami. Pierwsze reformy ekonomiczne były w Estonii, a na Litwie - wystąpienia o charakterze niepodległościowym. Bardzo aktywne były różne grupy młodzieżowe. A potem wszyscy się porozchodzili po różnych partiach...

Pierwszy raz dostałem siedem lat, a drugi raz - osiem (w listopadzie 1973). W 1976 roku przyjechała do mnie na Ural na widzenie żona z dziećmi. Dzieci były małe. Pobraliśmy się w 1970. Żona wiedziała jeszcze przed ślubem, że czeka mnie więzienie. Ale prowadziliśmy

normalne życie, jak chrześcijanie. Mieliśmy troje dzieci. Żyło się nam całkiem znośnie, pieniędzy na jedzenie nam wystarczało, choć nie mieliśmy samochodu ani swojego mieszkania - mieszkaliśmy w akademiku.

Po wizycie żony czekista mówi do mnie tak: „Chcesz pojechać do domu?”. A ja wiem, co to pytanie oznacza: „Wydasz redakcję ‘Kroniki’ i...”. Więc odpowiadam: „NIE CHCĘ pojechać do domu”. I więcej już żadnych propozycji nie było.

Jeszcze wiele razy bywaliśmy [?] w karcerze. Ale jeszcze jedna ciekawa sprawa - kiedy trafiłem do łagru po raz drugi, to wszystkich tych marksistów i ateistów nie było. Niemal nikt z młodych - z Moskwy czy w ogóle z Rosji - nie mówił o sobie w ten sposób. Taki zaszedł proces.

Byli tam już dysydenci: Kowalowa przywieźli w 1976 roku, spotkałem się tam ze Szczarańskim, Jurijem Orłowem...

Wróciłem w 1981 roku, spotykałem się w różnych podziemnych grupach, a w KGB uprzedzili mnie, że mają już na mnie materiał, wystarczający, żeby mnie wsadzić po raz trzeci.

Zastanawiałem się, jak to możliwe, że mnie wyśledzili. Przez rok po powrocie urządzono mi surową „kwarantannę”: mogłem wyjść z domu w dni robocze tylko od dziewiątej do szóstej po południu, a w dni świąteczne - od dwunastej do siedemnastej.

Co prawda na początku gdzieś tam sobie chodziłem, ale KGB mnie namierzyło, choć milicji się nie udało.

Zamontowali w moim mieszkaniu mikrofony, tak że było słycać szept. I podchodzi do mnie pewien znajomy kapuś i mówi szeptem: „będą cię sprawdzać, zamknij się, żeby cię nie było [?]”. Wysłali go, żeby sprawdził, czy jestem w domu, bo chcieli przeprowadzić rewizję, a on mnie ostrzegł. Wraca do samochodu, a oni włączyli magnetofon i puścili mu wszystko to, co mówił szeptem. I powiadają: „Dla kogo pracujesz, suko!”

Ale udało nam się znaleźć te mikrofony, zrobiliśmy też blokadę podsłuchu, choć na wszelki wypadek nie prowadziliśmy rozmów w mieszkaniu.

Dzieci miały wtedy po parę lat, więc nie zwracały na to wszystko specjalnie uwagi. Kągiebiści podsyłali im inne dzieci, żeby pytały, czy ojciec jest w domu albo - co robi.

Dzieci nie były pionierami. Powiedziałem im, że jeśli którekolwiek zostałyby pionierem albo komsomolcem, wygonię je z domu. I dzieci powtórzyły to w szkole.

Przyszli do mnie kiedyś [agitatorzy] i przynieśli zaproszenie, żebym poszedł na wybory. A ja im mówię: „Więcej mi tego nie przynoscie. Jeśli przyniesiecie, to źle się to skończy”. I już ani razu nikt taki nie przyszedł. Flagi sowieckiej nigdy w domu nie wywieszałem. Nawet nie miałem gdzie jej wetknąć.

Tymczasem [pojawił się] już prawdziwi dysydenci, to znaczy otwarcie podpisywali listy, księża katolicy utworzyli Komitet Obrony Praw Wierzących, bodaj w 1976 roku. Wydawali kilka pism. Wtedy siedziałem i dochodziły do mnie o tym bardzo mgliste wieści. Ale w łagrze również zaczęliśmy wydawać „Kronikę”. Było tam bardzo dużo kapusiów - dawnych policjantów z czasów drugiej wojny, którzy współpracowali z Niemcami. A myśmy pisali „Kronikę bieżących wydarzeń w łagrze”, na bardzo cienkim papierze [bibułka?], zrobiliśmy kapsułkę, połykaliśmy i przekazywaliśmy kapsułkę w czasie widzenia. Potem przerzucano to na Zachód. A na Zachodzie, w Nowym Jorku [IMIĘ NIECZYTELNE] Lubarski publikował te kroniki. I tak codziennie pisaliśmy [?], że w łagrze dochodzi do naruszania praw człowieka.

Siedzi się przy stole, a tu wchodzi kapusie, zaglądają pomniejsi nadzorcy. A ja tłumaczę książkę z polskiego na litewski, powiedzmy „Boski przyjaciel” (była taka książka). Mam porozkładane słowniki, a pomiędzy dwiema kartkami, w wąskiej szczelinie, piszę kronikę. I nie zwracam uwagi. Ktoś podchodzi - powiedzmy nadzorca, patrzy, pyta: „Co piszesz, Plumpa?” A ja: „Ojej! Dzień dobry, panie nadzorco!”. A on patrzy ci w twarz, jaki masz wyraz twarzy - czy się przestraszysz, czy nie. Pracował tam na przykład Semion Gluzman. Z rok się popracowało i już [?]. Bardzo duże napięcie. I nie zna się dnia nigodziny. Jeśli złapią -

piętnaście dni [karceru], a potem [?]. Dlatego każdy zajmował się tymi sprawami na zmianę – mniej więcej po rok. Ja też – pisałem, potem na długie miesiące trafiłem do karceru, potem do więzienia w Czystopolu.

I okazało się, że jeśli trzeba było pisać „Kronikę” już po obozie, to było już śmiechu warte: skoro tam nie mogli nic znaleźć, to na wolności – tym bardziej. Tam znaleźli tylko archiwum. Chowaliśmy kopie materiałów w zonie pracy, w opławkach, zakopywaliśmy – w różnych miejscach. Zaznaczałem te miejsca i tylko ja jeden je znałem. Ale któregoś razu przeprowadzili wielką rewizję, wyłamali [?] i znaleźli to archiwum.

Od dziecka, od czasu gdy wypisywałem proklamacje, miałem taki zwyczaj, że zmieniałem charakter pisma: pochylałem w drugą stronę litery i zmieniałem ich kształt. Dlatego na ekspertyzach w KGB i w łagrze nie mogli określić, kto pisał. A było tam kilku wyjątkowo złośliwych nadzorców. W 36. zonie to był Rak-Durak (kapitan Rak, Ukraińiec, który nieustannie czepiał się Siergieja Kowaliowa), lejtnant Sielikow – Koń-Głowa i Fiedia Rozbójnik (Fiodorow). A kiedy Kowaliow został już członkiem rosyjskiej Dumy i przewodniczącym Komitetu Obrony Praw Człowieka, przyjechał do tego obozu, wówczas już dla przestępców pospolitych, na inspekcję. I tam wita go kapitan Rak, cały w strachu. Nie wie, jak tu się zameldować. Podchodzi ten nienawistny mu przewodniczący komisji... I „Zdorowja żelajem, Siergieju Adamowiczu!”.

Któż mógł sobie coś takiego wyobrazić [...]

Teraz jest więcej problemów niż wówczas. Wtedy wszystko było jasne: jeden wróg, jedna kwestia: obrona praw, obrona wiary. Białe – czarne. A teraz wiele różnych odcieni i niuansów. I z wolności skorzystali nie ci, którzy chcieli dobra dla całego narodu, ale ci, którzy chcieli dobra dla siebie. [... biznes narkotyczny, pornobiznes]

Teraz zdaje mi się czasem, że jestem w obozie dla kryminalnych. W niektórych obozach tak było, że większość stanowili kryminalni, a my – polityczni byliśmy w mniejszości i musieliśmy się im podporządkować, zgodnie z zasadami demokracji. Ponieważ zaś to prawo jest nieludzkie, nie możemy się mu podporządkować i wychodzi na to, że jesteśmy przeciwko demokracji. A gdyby się podporządkować zasadzie demokracji, musiałbym się wyrzec swoich zasad - moralnych i ludzkich. To samo przeżywamy teraz w skali kraju. Prawa demokratyczne niekiedy stoją w sprzeczności z prawem moralnym. [...]

Wtedy wiedziałem, co mam robić. Teraz też wiem, ale efekty wydają się równie dalekie, jak wtedy. Wtedy wolność Litwy stanowiła bardzo odległą wizję, teraz to, do czego dążymy wygląda równie daleko. Na przykład normalne ludzkie społeczeństwo, w którym człowiek jest człowiekowi bratem. [... wizja aktywności w parafiach, utworzenia ośrodków parafialnych...]

W 1993 roku był jubileusz 25-lecia „Kroniki Bieżących Wydarzeń”. Uczestniczyłem w nim jako przedstawiciel Litwy. Zapytano mnie wówczas, jak to się stało, że dysydenci byłego Związku Radzieckiego spotykają się tylko przy takich okazjach, że znikają kontakty.

Odpowiedziałem wówczas, i myślę tak także i dziś, że dysydenctwo, czy też ruch obrony praw człowieka, wyrosło w reakcji na ówczesne warunki. I wówczas nieunikniony i naturalny był proces konsolidacji wszystkich sił, które chciały wyjść z tej niewoli. Ale kiedy to się dokonało, kiedy nastąpiła demokracja, dysydenci rozeszli się po różnych ruchach, partiach w swoich krajach i nie ma teraz żadnej konieczności tworzenia żadnych związków dysydentów, chyba żeby sobie powspominać przeszłość. Nie ma z kim teraz walczyć „po dysydencku”. To niepotrzebne, ponieważ jest już wolność i demokracja i dysydenci roztopili się w społeczeństwie, niczym naród żydowski, apostołowie roztopili się w środowisku chrześcijan. Podobnie „Sajudis” był podstawą ruchu niepodległościowego. A gdy odzyskaliśmy niepodległość, członkowie „Sajudisu” rozproszyli się po różnych partiach. Czy tak, jak naród żydowski w porównaniu z całym chrześcijaństwem. Żydów jest teraz bodaj około szesnastu milionów, a chrześcijan – ponad miliard. Ta początkowa grupa pozostała bardzo mała. Tutaj też dysydenci spotykają się tylko po to, by powspominać.

Niektórzy z nich są głęboko niezadowoleni z sytuacji. Wyszliśmy z niewoli politycznej, ale nie z duchowej. Jeszcze chyba w 1987 roku napisałem do podziemnego pisma artykuł, który się nie ukazał, że po odzyskaniu niepodległości przed Litwą pojawi się mnóstwo problemów, poni, ponieważ naród przez pięćdziesiąt lat nie został przygotowany do życia w wolności i dlatego będzie postępował tak jak pospolity więzień, który uciekł z obozu w tajgę. Taki więzień upaja się swoją wolnością i korzysta z niej bez umiaru, często w sposób zbrodniczy i – ginie.

[...]

Naród, który upaja się wolnością, nie odczuwając odpowiedzialności moralnej, tworzy społeczeństwo lub państwo przestępcze.

Wtedy miałem spokój w duszy. Czułem, że robię to, co trzeba.

Mój brat Jonas służył w armii, był na froncie w Kurlandii. Nie zdążył uciec i Rosjanie wzięli go do wojska w 1944 roku. Miał uciekać z bratem, ale rozłączyli się nocą i tak zostało. Wrócił po prawie sześciu latach w 1950. A w 1952 wzięli go do obozu na 10 lat. Pobił się z komsomocem i go wsadzili. Ale w 1955, za Chruszczowa, wrócił do domu.

Był specjalny łagier dla wierzących. Trafiłem tam na krótko. Byli tam sektanci, zakonnicy...

Oczywiście nie obywało się bez sporów ideologicznych, ale żadnych bójek nie było.

Kiedy po raz drugi trafiłem do łagru i przesiedziałem w karcerze wiele tygodni i miesięcy bywało, że siedziałem tam ja – katolik, siedział muzułmanin, prawosławny Rosjanin, Ukrainiec Matusiewicz – różnych przekonań i narodowości. I powiedzmy, że przychodzi katolicka Wielkanoc, to uważało się, że powinni ją obchodzić wszyscy. Muzułmanin wygłasza „Ojczy Nasz”, Ormianin Erikian śpiewa religijną pieśń, inni recytują wiersze. Ekumenizm w czystej postaci. W łagrze zbieraliśmy się też – luteranin, prawosławny i ja katolik i prowadziliśmy rozmowy. Wszyscy wierzący czuli, że ich wspólnym wrogiem jest ateizm. A wspólnym mianownikiem jest Bóg. I głębiej nie wchodzimy. Jeśli wejdziemy głębiej, to będzie dyskusja albo kłótnia. Do dyskusji można dojść, ale do kłótni – nie. No, a teraz, na wolności trwa nie tylko dyskusja, ale i kłótnie.

[...o sektach]

Teraz polityka stała się dla niektórych religią. „Jeśli nie wierzysz w moją partię...”

[...]

W 1964 roku, jeszcze w obozie powstała idea utworzenia wspólnego Związku Nadbałtyckiego. I więźniowie doszli tam do wniosku, że na początek trzeba uczyć się wzajemnie swoich języków. Zebrali się tam litewski partyzancki kapitan Pautarokas, z Łotwy chyba Calitis – ojciec, Estończyk Erik [...?]. I zaczęliśmy się uczyć. Ja nauczyłem się łotewskiego, Calitis – litewskiego, Ardziunas znał wszystkie trzy języki. Potem, gdy trafiłem do łagru po raz drugi zdarzało się tak, że siedziałem przy stole z Estończykiem i rozmawiamy sobie po łotewsku. Wiem, że potem były różne spotkania, ale ja nie brałem w nich udziału. Wydaje mi się, że do Calitisa wyjeżdżał Terleckas. Był też Mart Niklaas, który nauczył się po litewsku. Potem już nie bardzo się tym interesowałem, bo gdy siedziałem po raz drugi, to miałem już zupełnie inne cele – odrodzenia duchowego. Uznałem, że wyzwolenie narodowe nastąpi dopiero wówczas, gdy dojdzie do wyzwolenia duchowego. Ale wydarzenia nas – i mnie – wyprzedziły. Nie zdążyliśmy zorganizować duchowego wyzwolenia (jeśli w ogóle da się je zorganizować), a wyzwolenie narodowe po prostu spadło na nas. Widzę, że po prostu jesteśmy nieprzygotowani do wiosny.